



SŁUŻYMY
NIEPODLEGŁEJ

Nr okazyjny / 2020

ŻOŁNIERZOM NIEZŁOMNYM

POLSKA 4 BROJNA

Warszawa, 1 marca 1951 / 1 marca 2020

Dziś

**Narodowy Dzień
Pamięci Żołnierzy
Wyklętych**

– polskie święto państwowe
obchodzone corocznie 1 marca,
poświęcone upamiętnieniu
żołnierzy antykomunistycznego
i niepodległościowego podziemia.



MY, POLACY DOBRZE ZNAMY CENĘ WOLNOŚCI

Szanowni Państwo,

Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych to okazja, by głośno przypomnieć i złożyć hołd bohaterom polskiej niepodległości.

Dzięki ustanowieniu tego święta przez prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej śp. prof. Lecha Kaczyńskiego, udaje nam się przywracać godność i pamięć o Żołnierzach Niezłomnych, którzy w walce z komunistycznym reżimem oddali życie. Ich celem, wyborem i drogą była wolna Polska. Podporządkowali temu celowi wszystko bez reszty.

1 marca 1951 roku w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie stracono polskich żołnierzy i dobrych Polaków – członków IV Zarządu Głównego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Mur nosi jeszcze ślady kul po tych egzekucjach. Takich miejsc, gdzie pochowano pomordowanych – często nadal bezimiennych – bohaterów, w całym kraju są tysiące.

My, Polacy dobrze znamy cenę wolności. Dziś żyjemy w suwerennym kraju i pamięć o ich walce oraz poświęceniu powinna towarzyszyć nam każdego dnia. To nasz obowiązek.

Żołnierze Niezłomni byli wierni Polsce – współczesne wojsko pozostaje wierne ich ideałom.

Cześć i chwała bohaterom!

*Mariusz Błaszczak
minister obrony narodowej*

**W swoim ostatnim słowie ks. Gurgacz zachował nieugiętą postawę:
„Na śmierć pójść chętnie. Cóż to jest zresztą śmierć?...
Wierzę, że każda kropla krwi niewinnie przelanej zrodzi tysiące
przeciwników i obróci się wam na zgubę”.**

Utalentowany duszpasterz i malarz, przez lata marzący o życiu misjonarza, związał swój los z wojskiem. Został kapłanem oddziału partyzanckiego i mimo trudów wytrwał w nim do końca. Razem z dwoma żołnierzami jednostki

poniósł śmierć z ręki komunistycznego kata, 14 września 1949 r. Ksiądz Władysław Gurgacz – małopolski jezuita.

Nie ekshumować tego jezuitę

Choć ks. Gurgacz miał swój grób na krakowskim Cmentarzu Rakowickim,

przez lata nie było pewności, czy to tam znajdują się szczątki niezłomnego kapłana. Gdy dwa dni po egzekucji ciała ks. Gurgacza oraz Stefana Balickiego „Byliny” i Stanisława Szajny „Orla” przewieziono z więzienia przy ulicy Montelupich w Krakowie na pobliski cmentarz, okazało

cd. na nast. stronie



Msza święta dla partyzantów Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowej. Odprawia ks. Gurgacz, Beskid Sądecki, wiosna 1949 r.

dokończenie z strony 1

się, że drewniane trumny nie są oznaczone. Wrzucono je więc kolejno do przygotowanych uprzednio dołów, zapisując w księdze cmentarnej nazwiska w sposób przypadkowy i opatrując na wszelki wypadek adnotacją: „Nie ekshumować”.

W 2018 r. zapadła decyzja, by przebadać groby partyzantów. W ramach śledztwa prokuratorskiego Instytutu Pamięci Narodowej przeprowadzono prace archeologiczne, podczas których ujawniono szczątki z charakterystycznymi śladami po egzekucji metodą katyńską. Ofiary zginęły od strzału w tył głowy, a jedne szczątki nosiły ślady po dwóch kulach. Korespondowało to z relacją, do jakiej dotarł pierwszy biograf ks. Gurgacza, ks. Stanisław Szymański: „Wyrok wykonywał strażnik więzienny. Strzelał on z rewolweru wprost w potylicę. Pierwszy jednak strzał przeznaczony dla Gurgacza nie był celny. Zranił go tylko. Drugi strzał był przeznaczony dla Balickiego, a trzeci dla Szajny. Obydwa były celne. Teraz oddziałowy oddał strzał czwarty do słaniającego się po ziemi Gurgacza. Tym razem nie chybił”.

Późniejsze badania genetyczne potwierdziły, że szczątki ze śladem pod dwóch kulach należały właśnie do jezuity. Odkryto je jednak w miejscu, gdzie miał spoczywać Stanisław Szajna. Natomiast nieopodal, w grobie, który przyjęto uzna-

wać za mogiłę ks. Gurgacza, odkryto szczątki „Orla” i najprawdopodobniej „Byliny” (wciąż trwa ich identyfikacja).

Byś przyjąć raczył ofiarę z życia mego

Ksiądz Władysław Gurgacz urodził się 2 kwietnia 1914 r. w Jabłonicy Polskiej na Podkarpaciu. Bardzo szybko rodzina dostrzegła w nim wyjątkowe uduchowienie, nic więc dziwnego, że już jako nastolatek trafił do nowicjatu zakonu jezuitów w pobliskiej Starej Wsi. Jego droga zakonna zaprowadziła go w kolejnych latach do Pińska na Polesiu i na studia filozoficzne do Krakowa. Niedługo przed wybuchem II wojny światowej, w kwietniu 1939 r., świadomy zagrożenia, jakie zbliża się do Polski, złożył na Jasnej Górze akt całkowitej ofiary za ojczyznę w niebezpieczeństwie.



Ks. Władysław Gurgacz

W sposób proroczy deklamował przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej: „Za grzechy Ojczyzny mojej, tak za winy narodu całego, jako też i jego wodzów, przepraszam Cię Panie, i błagam zarazem gorąco, byś przyjąć raczył jako zadośćuczynienie całkowitą ofiarę z życia mego”. Trzy lata później w tym samym miejscu otrzymał święcenia kapłańskie.

Dał się poznać jako doskonały duszpasterz i charyzmatyczny przewodnik duchowy dla tych, którzy z różnych przyczyn odeszli od wiary. Jego zaawan-

Między gwiazdą Dawida a mieczykiem Chrobrego

Oficer Narodowych Sił Zbrojnych o żydowskich korzeniach zginął męczeńską śmiercią, nie godząc się na zniewolenie kraju przez Rosję sowiecką.

Późne zimowe popołudnie. 4 lutego 1945 r., Warszawa, więzienie przy ulicy 11 Listopada na Pradze. Pluton egzekucyjny pod dowództwem kpr. Aleksandra Aftyki, w obecności lekarza wojskowego ppor. Barbary Baryszewej i podprokuratora wojskowego garnizonu warszawskiego ppor. Henryka Podlaskiego czeka na doprowadzenie na miejsce kaźni Stanisława Ostwinda, więźnia skazanego na karę śmierci. Po odczytaniu sentencji wyroku padają głuche strzały. Lekarz stwierdza zgon skazańca punktualnie o godzinie 16.30. Potem zwłoki

zostaną potajemnie pochowane, w nieoznakowanym miejscu, na Cmentarzu Bródnowskim. Do dzisiaj nie udało się ich odnaleźć i zidentyfikować.

Z żydowskiej rodziny

Przyszły oficer podziemia narodowego urodził się 14 kwietnia 1899 r. w Warszawie. Nosił wówczas imię Szmul (Samuel). Był on synem Wolfa i Rebeki z domu Saudel. Jego ojciec był krawcem, a wyuczonym zawodem jego syna było fryzjerstwo. Miał wykształcenie średnie – gimnazjalne. W roku 1920 przyjął chrzest w kościele rzymskokatolickim. Choć obrzezany w dzieciństwie, przejął jako młody chłopak polskim patriotyzmem. Związał się z konspiracyjnym Związkiem Strzeleckim, w latach 1915–1918 służył w polskich Legionach, a następnie walczył w wojnie bolszewickiej, po czym jako starszy sierżant w 1921 r.

przeszedł do służby w Policji Państwowej w stolicy.

Był dwukrotnie żonaty. Po raz pierwszy z Henryką Tyszkiewicz, z którą rozszedł się w 1928 r. W 1930 r. poślubił przed pastorem ewangelickim Henrykę Truszczyńską, z którą miał córkę Bożenę. Jego rodzina mieszkała w stolicy do upadku powstania w październiku 1944 r. Po wielu perypetiach osiadła na Dolnym Śląsku.

W szeregach narodowych

Po ustaniu działań wojennych, w październiku 1939 r. Ostwind ukrywał się na Podlasiu i tu w sierpniu 1942 r. został zaprzysiężony jako żołnierz Narodowej Organizacji Wojskowej, poprzedniczki NSZ, pod pseudonimem „Kropidło”, następnie „Bolesław”. Przebywał na terenie gminy Zbuczyn w powiecie siedleckim, posługiwał się fałszywą kartą wystawioną na nazwisko Bolesława





Ksiądz Władysław Gurgacz „Sem” i Stanisław Szajna „Orzeł”. Wierch nad Kamieniem w paśmie Jaworzyny w Beskidzie Sądeckim, wiosna 1949 r.

sowane plany udania się na misje święte pokrzyżowała wojna oraz problemy zdrowotne, z jakimi całe życie się zmagał. W wolnych chwilach poświęcał się zaś pasji malarskiej. Jego obrazy, przede wszystkim o treści religijnej, odnaleźć

można w wielu miejscach, w których czasowo mieszkał i pracował.

Kiedy w 1947 r. trafił do leżącej w Beskidzie Sądeckim Krynicy był już w pełni ukształtowanym kapłanem, który nie bał się głosić publicznie wiary i krytyko-

wać odciągającej ludzi od Boga filozofii marksistowskiej. Stał się wówczas podporą dla walczących z narzuconym Polsce systemem komunistycznym, co stanowiło pierwszy krok do objęcia funkcji kapelana oddziału partyzantki niepodległościowej.

Ksiądz w „bandzie”

Bliskie związki kapłana z podziemiem zbrojnym, a następnie wstąpienie wiosną 1948 r. do oddziału partyzanckiego „Żandarmeria” Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowców, spotkały się z dezaprobatą jego przełożonych zakonnych. Choć zdawali sobie sprawę z tego, że ich współbrat – z uwagi na nieugiętą postawę i walkę z materializmem – dwukrotnie stał się ofiarą zamachów na swoje życie, to uznawali, że jego miejsce nie było w „lesie”. Obawiali się też, że „ksiądz w bandzie”, jak to wówczas podkreślała propaganda, będzie dla komunistów świetnym pretekstem do uderzenia w Kościół katolicki w Polsce. Nakazali mu więc wystąpienie z oddziału, a gdy ks. Gurgacz nie podporządkował się tej decyzji, ogłosili, że został usunięty z zakonu. Najprawdopodobniej jednak nie było to zgodne z prawdą. Chroniąc zakon, oficjalnie odcięli się od współbrata. Ten jednak nie chciał opuścić partyzantów, którymi się opiekował i dla których stał się „Ojcem”. Tak bowiem zwracali się do niego najczęściej, mimo że właściwym jego pseudonimem był „Sem” (skrót od Sługi Marii), którym podpisywał też swoje obrazy.

Decyzja o pozostaniu w lesie nie była dla ks. Gurgacza łatwa. Podjął ją mimo konfliktu sumienia, wiedząc, że bez jego wpływu ukrywający się w Beskidzie Sądeckim młodzi ludzie mogą, jak to określał, „zejść na manowce”. Odprawiał więc dla nich msze święte, spowiadał ich,

ale też wykladał im etykę czy historię. Dzięki jego nauczaniu grupa nastawiała się przede wszystkim na samoobronę i czekała na wybuch międzynarodowego konfliktu zbrojnego.

Na śmierć pójde chętnie...

„Żandarmeria” była jednym z ostatnich oddziałów partyzantki niepodległościowej w Małopolsce. Nic dziwnego, że bezpieka robiła wszystko, żeby ją rozbić. Udało się to latem 1949 r. W ręce funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa wpadł też ks. Gurgacz, aresztowany w grupie partyzantów PPA, którą dowodził Stefan Balicki. Wytoczono im wówczas pokazowy proces, eksponując podczas niego postać kapelana i kreując go na „przywódcę bandy”.

Przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Krakowie zapadły cztery wyroki śmierci – na ks. Gurgacza, jego adiutanta Stanisława Szajnę, Balickiego oraz na kleryka jezuickiego Michała Żaka, któremu ostatecznie karę śmierci zamieniono na dożywocie. W swoim ostatnim słowie ks. Gurgacz zachował nieugiętą postawę: „Na śmierć pójde chętnie. Cóż to jest zresztą śmierć?... Wierzę, że każda kropla krwi niewinnie przelanej zrodzi tysiące przeciwników i obróci się wam na zgubę”. W zarekwirowanym przez UB liście do swojego prowincjała, ks. Wojciecha Krupy, stwierdził: „Teraz, gdy stoję przed bramą wieczności, odczuwam wielki spokój. Niedługo wypowiem swoje ostatnie »Ite, missa est!«” (Idźcie, ofiara spełniona). W ten sposób akt złożony w 1939 r. wypełnił się dekadę później. ■

Dawid Golik, historyk, pracownik Oddziału IPN w Krakowie

Zuzgi. Ze względu na świetną znajomość przedwojennego kodeksu karnego brał udział w rozprawach sądów specjalnych, mając znaczący wpływ na wyroki ferowane przez dowództwo XII Okręgu NSZ (Podlasie). Do października 1944 r. utrzymywał kontakty z zawieszonym przez Dowództwo NSZ-AK na stanowisku komendanta XII Okręgu ppłk. Stanisławem Miodońskim „Sokołem”, który skupił wokół siebie gros oficerów sztabowych niezadowolonych z faktu utraty tożsamości ideowej i taktycznej własnych szeregów na rzecz Armii Krajowej.

W rękach żydokomuny

Major Ostwind został aresztowany w Węgrowie 3 stycznia 1945 r. wraz ze swoim adiutantem „Zniczem”. Następnego dnia w jego mieszkaniu przeprowadzono skrupulatną rewizję. W jej rezultacie odnaleziono teczkę z organizacyjnymi dokumentami, materiałami legalizacyjnymi z okragłą pieczęcią komendy XII Okręgu NSZ uprawniającą do zbierania składek członkowskich. Ostwind został przewieziony do aresztu NKWD w Otwocku, potem przerzucono go do aresztu bezpieki na warszawskiej Pra-



Stanisław Ostwind, legionista, żołnierz Wojska Polskiego, policjant, major Narodowych Sił Zbrojnych

dze. Tu kontynuowano ciężkie śledztwo pod kontrolą Sowietów. Podobno, kiedy komuniści odkryli jego żydowskie pochodzenie, usiłowali przekonać go do przejścia na ich stronę. On jednak odmówił i stwierdził, że pozostanie wierny Polsce, swoim ideałom oraz Narodowym Siłom Zbrojnym, którym złożył przysięgę. Postępowanie zamknięto sporządzeniem aktu oskarżenia już 30 stycznia, tego też dnia dokonano oględzin materiałów dowodowych. Zachowały się

protokoły przesłuchania oficera NSZ tylko z ostatniego dnia śledztwa. Zarzucano mu, że: był jednym z głównych przewodników tego niszczycielskiego i przekłętą ruchu i naczelnym jego organizatorem w pow. węgrowskim. I w chwili, gdy wielka część Polski znajduje się jeszcze pod jarzmem bestii hitlerowskiej, oskarżony czyta obwieszczenie, że Ojczyzna wzywa go na pomoc, do walki z okupantem hitlerowskim – do wojska, lecz pozostaje obojętny, więc, nadal z zimną krwią pracuje nad utrwaleniem w przyszłości nowego hitleryzmu w Polsce”.

Sądzony był przez Sąd Wojskowy Garnizonu Warszawskiego na niejawniej rozprawie 2 lutego. Po odczytaniu aktu oskarżenia, odparł: „Do winy nie poczuwam się”. Podczas swoich wyjaśnień starał się zminimalizować swoją rolę w podziemiu. Rozprawa trwała kwadrans. Po kolejnych czterdziestu minutach narady składu sędziowskiego odczytano Ostwindowi wyrok: kara śmierci, pozbawienie praw publicznych i obywatelskich na zawsze oraz przepadek całego majątku. Wyrok został wykonany dwa dni później. ■

Mariusz Bechta, historyk, pracownik Oddziału IPN w Warszawie



„Odkąd między balustradami X pawilonu wisi kopia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, czujemy tu większy spokój”, mówią pracownicy Muzeum.



←
„Szubienicę, na której
stracono generała
Nila, znaleźliśmy
zabetonowaną pod
podłogą siłowni dla
funkcjonariuszy”,
mówi Jacek
Parwotowicz,
dyrektor Muzeum
Żołnierzy Wyklętych
i Więźniów
Politycznych PRL.

→
Karcer pod oknem
zamknięty był kratą
albo drzwiami,
w oknach nie było
szyb, aby więzień
zimą stał
w lodowatej wodzie.



MROCZNA RAKOWIECKA

Odczuwa się jeszcze obecność więzionych tutaj w czasach stalinowskich żołnierzy podziemia

„To miejsce kryje wiele tajemnic”, tak Jacek Pawłowicz, dyrektor Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL, rozpoczyna oprowadzenie po terenie muzeum, gdzie niedawno mieścił się Areszt Śledczy Warszawa-Mokotów. To tutaj, w więzieniu na Rakowieckiej, w latach powojennych komuniści więzili i mordowali działaczy podziemia niepodległościowego.

Podczas zwiedzania ekipa „Polski Zbrojnej” ma okazję zobaczyć wiele miejsc niedostępnych dotąd dla osób spoza muzeum, m.in. podziemne pomieszczenia pod pawilonami więziennymi. „Prawie każde kryje zagadkę – prowadzące donikąd schody, rury, które nie wiadomo dokąd biegną, zamurowane za ścianami puste przestrzenie”, wylicza dyrektor.

Jak tłumaczy, budynki więzienne były wielokrotnie przebudowywane i nie zachowała się ich dokumentacja: ani z okresu carskiego, kiedy powstało więzienie (1904), ani z okresu II Rzeczypospolitej, ani czasów komunistycznych. Pierwsze plany są dopiero z końca lat sześćdziesiątych.

Jednym z zagadkowych miejsc są tunele ciągnące się pod całym terenem więzienia. W latach czterdziestych służyły funkcjonariuszom do komunikacji, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych poprowadzono nimi rury z ciepłą wodą i ogrzewanie. „Nie wiemy jednak np. czemu służyły odkryte w ścianach tunele nieduże wnęki, możliwe, że umieszczono w nich karcery”, mówi Pawłowicz.

Kiedy w latach 1945–1956 mieściła się na Rakowieckiej katownia UB, wielu działaczy niepodległościowych przetrzymywano w X pawilonie. Przy drzwiach niektórych cel wiszą dziś tabliczki z nazwiskami osób, które tu przebywały, np. w celi 55 czekał na śmierć ppłk Stanisław Kasznica, ostatni dowódca NSZ.

Z pawilonu prowadzi podziemny korytarz do budynku przesłuchań, nazwanego przez więźniów „pałacem cudów”, ponieważ pod wpływem brutalnych tortur niewinni ludzie w sposób „cudowny” przyznawali się tam do zarzucanych im zbrodni. „Tam było piekło, w którym zrywanie paznokci było najmniejszą torturą”, opowiada dyrektor muzeum.

Więźniów też łamano, zamykając ich w karcerach. Kilkanaście godzin w tych nieludzkich warunkach i gotowi

byli przyznać się do wszystkiego. Pod pałacem cudów był m.in. karcer mokry, gdzie więźniowie przykuci do ścian stali po kolana w wodzie, właściwie szambie, bo nie wprowadzano ich do toalety. Obok umieszczono ciasną celę, w której zamknięta w całkowitej ciemności osoba mogła słyszeć, jak innych więźniów zabijano strzałem w tył głowy.

„Jeszcze inną torturą były karcery pod oknem w pawilonie XII”, mówi Pawłowicz. Jedno z takich miejsc otworzono na potrzeby kręconego w muzeum filmu. „To było małe pomieszczenie z jednym oknem bez szyb, przez które na więźnia padał śnieg, a woda wpływała przez nieszczelne drzwi”, opisuje dyrektor.

Szef muzeum prowadzi nas dalej, do jednego z miejsc, gdzie rozstrzeliwano żołnierzy podziemia. „Tutaj strzałem w tył głowy zabito elitę polskiego wojska, m.in. ppłk. Łukasza Cieplińskiego »Pługa« i mjr. Zygmunta Szendzielarza »Łupaszkę«”, mówi Pawłowicz pokazując na ceglany mur ze śladami po kulach. Na kawałku odsłoniętego z tynku muru odkryto 75 takich śladów, na całym murze jest ich 120. „Każdy ślad to życie człowieka”, zaznacza dyrektor.

Innym miejscem egzekucji był „tunel śmierci” przy wyjściu z X pawilonu. Ciemny, długi korytarz. Jeżeli więzień doszedł nim do końca – przeżył. Jeżeli kazano mu skręcić, czekała go na schodach śmierć od strzału w tył głowy.

Skazanych przez wojskowe sądy rozstrzeliwano, natomiast skazanych przez sądy cywilne – wieszano. Taka śmierć spotkała gen. Emila Augusta Fieldorfa „Nila”, zastępcę komendanta głównego AK, którego powieszono 24 lutego 1953 r. Skazano go w sfingowanym procesie za rzekomą kolaborację z Niemcami. „Szubienicę, na której zawisnął generał, znaleźliśmy zabetonowaną pod podłogą siłowni dla funkcjonariuszy”, opowiada dyrektor.

Po 1956 r. terror zelżał, ale na Rakowieckiej nadal więziono działaczy politycznych: uczestników strajków studenckich z 1968 r., działaczy KOR-u, ROPCiO, KPN i Solidarności. „Siedzieliśmy na Mokotowie, ale nie wolno porównywać lat osiemdziesiątych z czterdziestymi, oni wtedy mieli piekło, my »sanatorium«”, podkreśla Pawłowicz, który jako działacz solidarnościowy był tu więziony w 1983 r.

Budka strażnicza na dziedzińcu więzienia



Karcer pod schodami w drukarni, na wewnętrznej ścianie pancernych drzwi któryś z więźniów wydrapał krzyż

Strażnicy cały czas dbali jednak o zachowanie tajemnic tego miejsca. Według relacji więźniów, w latach siedemdziesiątych na Rakowieckiej zatrudnionych było dwóch specjalnych funkcjonariuszy. Jeśli więźniowie np. podczas kopania rowów natrafili na ludzkie kości, zamykano wszystkich w celach, a funkcjonariusze zbierali kości i palili je w piecach więziennej kotłowni. „To cud, że pracujący tutaj zespół prof. Krzysztofa Szwagrzyka z Instytutu Pamięci Narodowej odnajduje jeszcze jakieś ludzkie szczątki ofiar zbrodni nazistowskich lub komunistycznych”, zaznacza dyrektor. I podkreśla, że tak jak IPN będzie kontynuował tutaj prace, tak pracownicy muzeum będą nadal prowadzić badania, aby odkryć wszystkie mroczne tajemnice Rakowieckiej. ■

AD, fot. Michał Nirwicz



←
Na murze, pod którym wykonywano egzekucje żołnierzy podziemia antykomunistycznego, wciąż są ślady po kulach.
W latach 1945–1956 wykonano tu 350 wyroków śmierci, do dziś nie jest znana dokładna liczba zakatowanych tu ofiar.

←
Orzetki znalezione podczas ekshumacji

→
Pracownicy muzeum liczą, że po zdjęciu ze ścian warstwy tynków i farb znajdą napisy pozostawione przez więźniów.



Tu się kroi, tu się szyje

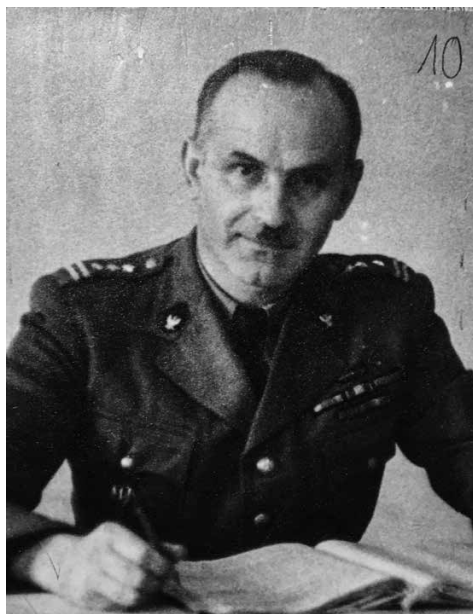
Przy jednym ze stołów siedział godzinami z nosem w książce, siwy, starszy pan – pułkownik dyplomowany Mieczysław Oborski. (...)

Od wszystkich trzymał się z daleka. Brał książkę i siedział nad nią po całych dniach. Na pytania odpowiadał krótko: tak lub nie. Było widać, że do nikogo nie ma zaufania”, pisał w swoich wspomnieniach z celi śmierci w więzieniu przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie płk Zygmunt Walter Janke, były dowódca Okręgu Śląskiego Armii Krajowej.

Płk Oborski książki nie czytał, jedynie patrzył bezwiednie na jej strony. Od pobudki do nocy analizował wydarzenia ostatnich miesięcy. Zastanawiał się, dlaczego wymuszono na nim przyznanie się do szpiegostwa i przynależność do grupy spiskowców w wojsku. W końcu odłożył książkę i sięgnął po kartkę papieru. Powoli, niepewnie trzymając pióro obolałymi palcami, zaczął pisać: „Oczekując wykonania wyroku w celi skazanych na śmierć, miałem dosyć czasu, by dojść do równowagi duchowej i zastanowić się nad całym przebiegiem śledztwa i złożonymi przeze mnie zeznaniami. Zrozumiałem, że w obliczu śmierci muszę jako uczciwy żołnierz powiedzieć prawdę”.

Wojna i powrót do kraju

Latem 1939 r. mjr Mieczysław Oborski otrzymał rozkaz natychmiastowego



Pułkownik Mieczysław Oborski, zdjęcie z lat 1947–1952, wykonane po powrocie do Polski

wyjazdu z Inowrocławia do Warszawy. W Sztabie Głównym otrzymał przydział do Wydziału Komunikacji Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego. Sprawdził wówczas do stolicy rodzinę – żonę i dziesięcioletniego syna Jurka. W drugim tygodniu wojny razem ze sztabem ruszył koleją na Wschód. Przekroczył granicę z Rumunią i został internowany w obo-

zie Călimănești. Uciekł stamtąd i przez Jugosławię i Włochy dostał się do Francji. Zgłosił się do 2 Dywizji Strzelców Piechoty, której dowódcą był płk Bronisław Prugar-Ketling. Mjr Oborski otrzymał przydział do sztabu. Po kapitulacji Francji polska dywizja dostała rozkaz przekroczenia granicy z neutralną Szwajcarią. Internowanych żołnierzy rozlokowano w obozach. Przed końcem 1940 r. gen. Prugar-Ketling powierzył mu obowiązki zastępcy obozu w Winterthur. Żołnierzom stworzono warunki do studiowania na uniwersytecie i politechnice w Zurychu, Sankt Gallen i Fryburgu. Oborski był odpowiedzialny między innymi za podróże żołnierzy między obozem a uczelniami. Przez całą wojnę starał się utrzymywać kontakt z rodziną, wysyłał listy i paczki. Przychodziły odpowiedzi. Po wojnie kontakt jednak się urwał.

17 grudnia 1945 r. przekroczył granicę z Polską. Przed Bożym Narodzeniem obwieszony torbami z prezentami dla najbliższych stanął przed furtką domu w podwarszawskim Wawrze. W domu rodzinnym spędził ledwie kilka godzin. Okazało się, że jego miejsce u boku żony zajął inny mężczyzna. Syn spakował się i wyszedł z ojcem. Razem pojechali do Lublina, do rodziny.

Zaraz po Nowym Roku mjr Oborski zgłosił się do komisji weryfikacyjnej w Lublinie. Dwa tygodnie później objął obowiązki szefa sztabu Dowództwa Artylerii Okręgu Wojskowego nr I w Warszawie. Cieszył się dobrą opinią. Awansował, został podpułkownikiem, następnie pułkownikiem. We wrześniu 1946 r. przeniesiono go do Głównego Inspektoratu Artylerii na stanowisko szefa Wydziału Operacyjno-Zwiadowczego.

Życie w nowej rzeczywistości powoli się układało. Zaraz po powrocie spotkał się z Janiną, wdową po swoim bracie, Arturze, saperze poległym w 1940 r. w Thouars we Francji. Wzięli ślub 14 sierpnia 1950 r.

Płk Antoni Skulbaszewski, zastępca Szefa Głównego Zarządu Informacji, przed końcem 1951 r. wydał polecenie, aby przygotować materiały do werbunku Oborskiego, a jeśli ten nie przyzna się do konspiracyjnej działalności w wojsku – aresztować go.

Piekło

Oborski został osadzony w areszcie śledczym Głównego Zarządu Informacji przy ul. Oczki 1 w Warszawie. Cella znajdowała się w piwnicy, przez małe okienko zabezpieczone kratą wpadało nieco światła, ale tuż przed ścianą budynku stał półtorametrový mur, który nie pozwalał promieniom słońca wedrzeć się do środka. Nie dawał też szansy na zbliżenie się do okienka komukolwiek z zewnątrz. Kto trafiał do tego budynku, miał zniknąć dla świata.

Janina Oborska wiedziała już, że jej męża będą przesłuchiwać tak długo, aż powie to, co śledczy chcą usłyszeć. Jeden z sędziów wojskowych o areszcie śledczym na Oczki powiedział: „Tu się kroi i tu się szyje. Sądy są od tego, aby zaprasować nasz wyrok i ogłosić go”.

PRAWDZIWA HISTORIA MACIKA CHEŁMICKIEGO

W „Popiele i diamencie”, filmie Andrzeja Wajdy, żołnierz antykomunistycznego podziemia, Maciek Chełmicki zabija sekretarza PPR na pustej ulicy Ostrowca, kiedy jego mieszkańcy świętują koniec wojny.

Ofiera akowca pada w ramiona swego zabójcy i kona, a w tym czasie nocne niebo rozświetlają race na cześć zwycięstwa. Przejmująca scena, ale niewiele w niej prawdy, prócz tego, że inspiracją były wydarzenia, które rzeczywiście rozegrały się w Ostrowcu Świętokrzyskim.

Faktycznie było tak. 16 stycznia 1945 r. Armia Czerwona zajęła Ostrowiec. Lokalni dowódcy Armii Krajowej z części swych żołnierzy zorganizowali milicję porządkową, by zapewnić bezpieczeństwo mieszkańcom miasta. W skład jednego z patroli wchodził żołnierz z oddziału por. Wincentego Tomasika „Potoka”, plut. Stanisław Kosicki „Bohun”. Mimo



Stanisław Kosicki

młodego wieku (ur. 1927), był doświadczonym partyzantem, odznaczonym za dokonania bojowe w 1944 r. Krzyżem Walecznych i Srebrnym Krzyżem Zasługi. To właśnie on był pierwowzorem bohatera „Popiołu i diamentu”.

W dniu wkroczenia Rosjan do Ostrowca „Bohun” stał w tłumie i obserwował maszerujących ulicą czerwonoarmistów. Nagle został wezwany do remizy straży pożarnej, gdzie ulokował się sztab AK. Na miejscu dowiedział się od swego dowódcy, pchor. Zbigniewa Manowskiego „Giermka”, że w kamienicy przy ulicy Bałtowskiej trwa napad i musi natychmiast interweniować. Kosicki dobrał sobie dwóch ludzi – „Foga” i „Gryfa”, których wysłał

przodem na rozpoznanie. Kiedy dotarł na miejsce, jego wywiadowcy wskazali mu parterowy dom. Kosicki znał właścicieli, to rodzice braci – Henryka „Twardego” i Floriana „Bejma” Kaczmarków, jego towarzyszy z oddziału „Potoka”. „Gryf” podał „Bohunowi” visa, którego odebrał stojącemu na bandyckiej czujce chłopakowi. Akowscy milicjanci, zgodnie z rozkazem dowództwa byli nieuzbrojeni, więc zdobyczny pistolet pozwolił im na minimalne wyrównanie szans z niewątpliwie uzbrojonymi bandytami.

Pojedynek „rewolwerowców”

Kosicki sam podszedł do tylnego wejścia kamienicy. Był w tym domu częstym gościem, więc pamiętał jego układ. Zapukał do drzwi Kaczmarków. Otworzyła Genia, dwunastoletnia córka gospodarzy. „Bohun” zauważył stojącego w głębi człowieka, mignęła mu także sylwetka pani Kaczmarkowej. Wkroczył do mieszkania.

Wymierzył visa prosto w rabusia. Był to niższy od niego, ciemny blondyn z kilkudniowym zarostem. „W prawej, uniesionej ku twarzy dłoni – wspomina Kosicki w swojej książce – trzyma palącego się skręta. Odwraca twarz w moją stronę. Rzuca peta pod siebie, właściwie puszcza go z palców, a uwolnioną ręką sięga szybko pod lewą pachę, skąd wyrwa pistolet. Jak na klatkach zwolnionego filmu, jego ręka z bronią zatacza łuk. Lufę kieruje we mnie. Broń błyska raz i drugi. Ku mnie. Wtedy i ja ciągnę za spust. Huki obu pistoletów zlewają się w jeden. Oddaję trzy strzały i odskakuję na ścianę, w korytarz. Widzę jeszcze, jak mój przeciwnik chwieje się i wali do przodu, na podłogę. Pchnięciem zatrzaskuję drzwi. Wewnątrz strzały i przeraźliwy krzyk dziecka”.

Przed domem gromadzi się tłum. Z mieszkania nadal dobiegały odgłosy strzałów. Po chwili jednak akowcom udaje się rozbroić i aresztować rannego rabusia.

Gorzej być nie mogło

W międzyczasie przyjechał wóz straży pożarnej. Strażacy odwieźli rannego do szpitala. Od razu trafił na stół chirurgiczny. Okazało się, że dostał trzy kule – jedna utkwiała blisko serca, druga trafiła w żołądek, trzecia w wątrobę. Nie miał szans na przeżycie. O śmierci rabusia „Giermek” poinformował Kosickiego wieczorem, pocieszając go, że zastrzelił bandytę, który sterroryzował ze swymi kompanami spokojną rodzinę. Być może uratował im też życie. Szybko się jednak okazało, że sprawa była bardziej skomplikowana.

SPISEK W WOJSKU

Jesienią 1949 r. członkowie Biura Politycznego KC PZPR zadecydowali o aresztowaniu trzech polskich oficerów Wojska Polskiego, którzy po wojnie przeszli na emigracji na służbę rządu warszawskiego. Byli to: gen. bryg. Stanisław Tatar, szef Oddziału Operacyjnego Komendy Głównej AK, jeden z autorów planu „Burza”, a od 1943 r. zastępca szefa Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie nadzorujący kontakty z krajem, ppłk Marian Utnik, szef Oddziału VI Sztabu, który utrzymywał łączność z Komendą Główną AK oraz płk Stanisław Nowicki, szef sekretariatu osobistego gen. Tatara. Rozpoczęto w ten sposób operację TUN (czyli „Tatar-Utnik-Nowicki”), bo taki kryptonim nadali sprawie „spisku w wojsku” funkcjonariusze Głównego Zarządu Informacji (kontrwywiad wojskowy). Od początku nie chodziło wyłącznie o trójkę zdrajców, którzy przeszli na służbę do „ludowego wojska”. Owszem, od nich rozpoczął się „spisek” – trójka miała pełnić rolę konia trojańskiego, podstawionego przez polski rząd na uchodźstwie, by w odpowiednim momencie przejąć władzę nad armią w kraju.

Aresztowano następnie około 130 oficerów w służbie czynnej i w rezerwie, stawiając im zarzuty uczestnictwa w spisku. W wyniku tortur oficerowie śledczy Informacji uzyskali zeznania, że na czele „spiskowców” stali wysoko postawieni oficerowie Sztabu Generalnego w kraju oraz instytucji centralnych Ministerstwa Obrony Narodowej, z niewłaściwą, bo przedwojenną lub akowską karierą wojskową: generałowie Stefan Mossor, Franciszek Herman, Jerzy Kirchmayer, Józef Kuropieska. Wedle oskarżenia macki zdrady sięgały głęboko – do prowokacji przygotowywano się jakoby już w czasie wojny – w Komendzie Głównej AK, w obozie jenieckim w Woldenbergu, w którym kpt. Kuropieska spędził całą wojnę razem z innymi „sanacyjnymi” oficerami i w konspiracji cywilnej. „Grupa tatarska”, sądzona w reżyserowanym, propagandowym procesie, otrzymała wysokie wyroki – od dożywocia (Tatar, Kirchmayer, Mossor, Herman) do dwunastu lat więzienia. Jednak największe wyroki zapadły w tzw. procesach odpryskowych. W sumie osądzono 86 osób, skazano na śmierć czterdzieści, z czego wykonano dwadzieścia wyroków. Co najmniej trzech oficerów zmarło już po wyroku, większość opuściła więzienia zmaltretowana psychicznie i fizycznie.

zur

Pierwszy protokół z przesłuchania podejrzanego pojawił się pięć dni po zatrzymaniu. Pierwsze polecenie brzmiało: „opowiedzcie o swojej przestępczej działalności w odrodzonym Wojsku Polskim”.

Przez trzy pierwsze doby nie spał w ogóle, przesłuchanie trwało non stop. Po przyznaniu się do szpiegostwa pozwolono mu na trzy-cztery godziny snu. Odwołał potem zeznania, ale nie zostało

cd. na nast. stronie

JAK ŻOŁNIERZ MA ROZKAZ, STAJE DO WALKI

Henryk Kończykowski był żołnierzem harcerskiego batalionu Armii Krajowej „Zośka”.

Halicz”, który przeszedł cały szlak zgrupowania „Radosław”, od Woli przez Stare Miasto po Czerniaków, do końca życia bronił decyzji o wybuchu Powstania Warszawskiego, uważał ją za konieczność. Był zdania, że gdyby go nie było, następne pokolenia nie wybaczyłyby swoim ojcom i dziadkom bierności.

„Ono musiało wybuchnąć i według mnie nie było wcale klęską. Przeciwno nam była szkolona na poligonach niemiecka armia, która przewyższała nas sprzętowo. Na przyczółku czerniakowskim, choć stanęły przeciwko nam do walki całe dywizje niemieckie, to przez dziesięć dni dawaliśmy im radę. Oni nie mogli użyć tam lotnictwa ani czołgów i w takiej normalnej walce nie dawali nam rady. Nam zabrakło później amunicji”, wspominał.

Pytany, czy poszedłby po wojnie raz jeszcze do powstańczej walki, gdyby dano mu ponownie taki wybór, mówił: „Tak, przecież jak żołnierz ma rozkaz, to staje do walki. Nie miałem poczucia klęski po powstaniu, a bardziej – że trzeba się jeszcze o Polskę bić, że walka się nie skończyła. Tak nam mówił nasz dowódca, płk Jan Mazurkiewicz »Radosław«, więc my się zaczęliśmy spotykać i gromadzić broń. Nie rozpamiętywaliśmy przegranej”.

Po wojnie nadal współpracował z zośkowcami w nowej konspiracji, ale za namową „Radosława” ujawnił się, zaczął studia na Politechnice Warszawskiej, gdzie jeszcze przed wojną wykładał jego ojciec. Miał jednak nadal u siebie w domu ukryty magazyn „zośkowej” broni. Po aresztowaniu jego kolegi, Jana Rodowicza „Anody”, zaczął się ukrywać. Miał już wtedy żonę i dwojkę małych dzieci. Aresztowany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa w Łodzi, przewieziony do Warszawy, przeszedł przez kilka stalinowskich katowni. W tym okresie do więzień trafiło czterdziestu żołnierzy batalionu „Zośka”.

Koszykowa

Tak wspominał swój pobyt w celi więzienia Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przy ulicy Koszykowej w Warszawie: „Rozkład dnia był jednostajny, a pory dnia były określane tylko przez dokonywane czynności. Paląca się przez całą dobę żarówka, brak światła naturalnego i panująca wokół cisza powodowały, że traciło się poczucie czasu. Ranek był wyznaczany przez otrzymanie kromki czarnego gliniastego chleba i wody zabarwionej na kolor brudnoszary, nazywanej kawą, południe przez miskę zupy, a wieczór tylko przez zabarwioną

cd. na nast. stronie

Niespodziewanie „Bohun” otrzymał z dowództwa uzbrojoną obławę – młodego chłopaka Mirka i łączniczkę Basię. Dziewczyna wpadła mu w oko, jednak cała sytuacja go zaniepokoiła. Miał rację. Po kilku dniach od strzelaniny nakazano mu uciekać z Ostrowca. Okazało się, że postrzelony śmiertelnie rabuś był ważnym funkcjonariuszem nowej władzy. Komuniści wpadli w szal. Aresztowali ofiarę napadu, panią Kaczmarkową i wszędzie szukali jej wybawicieli, bynajmniej nie dlatego, żeby ich nagrodzić.

Narodziny legendy

Kosicki otrzymał rozkaz natychmiastowego opuszczenia Ostrowca. W drogę ruszył z przydzieloną mu obławą. Zdecydował się na ucieczkę do Krakowa, gdzie miał nadzieję ukryć się u rodziny. Wkrótce łączniczka Basia została jego narzeczoną. „Bohun” jednak niezbyt długo cieszył się wolnością. W ostatni dzień lutego 1945 r. został aresztowany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Przez pewien czas był przetrzymywany w areszcie Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie, następnie przewieziono go do więzienia w Kielcach.

Tam wreszcie dowiedział się od jednego ze śledczych, kogo postrzelił w Ostrowcu. Rabuś z ulicy Bałtowskiej nazywał się Jan Foremniak. Był kapitanem Armii Ludowej (pseudonim „Janek”) i w dniu rabunku miał już nominację na wojewodę kieleckiego. Kosicki był przesłuchiwany przez przyjaciół „Janka”, wysoko postawionych

ubeków – Mieczysława Moczar, ówczesnego szefa WUBP w Łodzi i Władysława Sobczyńskiego, szefa WUBP w Kielcach. Młody akowiec uświadomił sobie, że ratując rodzinę Kaczmarków, podpisał na siebie wyrok śmierci.

Tak też orzekł Wojskowy Sąd Okręgowy w Łodzi na sesji wyjazdowej w Kielcach 29 czerwca 1945 r. Nie mniejszym ciosem dla Kosickiego było to, że jego ukochana Basia, aresztowana razem z nim, została agentką, a nawet kochanką oficera śledczego Edmunda Kwaska. „Bohun” czekał na wyrok w celi śmierci kieleckiego więzienia. Gdy już stracił nadzieję na ocalenie, w nocy 5 sierpnia 1945 r. oddział Antoniego Hedy „Szarego” rozbił więzienie w Kielcach i uwolnił Kosickiego wraz z innymi, 374 więźniami. Dzięki pomocy przyjaciół z ostrowieckiej konspiracji otrzymał fałszywe dokumenty na nazwisko Jan Szymański i wyjechał na Wybrzeże.

Popiół i diament

Na zlecenie wpływowego rodu Józefa i Beniamina Goldbergów (czyli Józefa Różańskiego, dyrektora Departamentu Śledczego MBP oraz Jerzego Borejszy, prezesa wydawnictwa „Czytelnik”), znany pisarz Jerzy Andrzejewski na kanwie tych wydarzeń wydał w 1947 r. swą najsłynniejszą powieść, zatytułowaną następnie

Popiół i diament. W jego książce niedoszły wojewoda kielecki Foremniak stał się ideowym i szlachetnym komunistą Stefanem Szczuką, a jego zabójcą – zagubiony w powojennej rzeczywistości młody akowiec Maciek Chelmiński. Komuniści nie przewidzieli wtedy, że w 1958 r., Andrzej Wajda w swej adaptacji filmowej powieści Andrzejewskiego tak rozłoży akcenty, że Maciek Chelmiński w kreacji Zbigniewa Cybulskiego stanie się bohaterem i idolem całej Polski, a los nowego polskiego bohatera romantycznego poruszy widzów kinowych na całym świecie. A co działo się dalej z prawdziwym Maciekiem Chelmińskim – czyli Stanisławem Kosickim? Na początku 1947 r. ukończył szkołę średnią w So-

pocie i zdał maturę. W kwietniu tego roku, w związku z ogłoszoną amnestią, ujawnił się i powrócił do swego nazwiska. Zamieszkał u rodziców w Toruniu. W 1950 r. ożenił się z Albiną Nyklas. Urodziło im się dwoje dzieci – syn Antoni i córka Anna. W 1952 r. rozpoczął studia na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Był jednym z najzdolniejszych studentów. Funkcjonariusze UB aresztowali go w lipcu 1954 r. w Stacji Naukowo-Badawczej PAN w Mikołajkach, gdzie był asystentem wybitnego biologa, prof. Jana Dembowskiego.

Jednak 12 stycznia 1955 r. Naczelna Prokuratura Wojskowa darowała Kosickiemu resztę nieodbytej kary i wycofała rozesłane za nim listy gończe. Mimo zatarcia kary Kosicki nie miał łatwego życia. Utrudniano mu znalezienie zatrudnienia, nie mógł kontynuować pracy naukowej. Po zmianie systemu, 8 listopada 1993 r., Sąd Wojewódzki w Olsztynie uznał wyrok z 1945 za nieważny. Stanisław Kosicki zmarł 21 marca 1997 r. Jego los już na zawsze będzie związany z Maciekiem Chelmińskim – bohaterem tragicznym, który miał umrzeć na śmietniku historii. ■

Piotr Korczyński

www.polska-zbrojna.pl



dokończenie ze strony 7

to zaprotokołowane, oficer śledczy powiedział mu, że „wbija gwoździe do swojej trumny, że nigdy nie zobaczy rodziny”. Potwierdził więc wersję zeznań, którą chciał usłyszeć oficer.

Podczas rozprawy przed sądem woj-skowym Oborski nie odwołał zeznań, potwierdził swoją „zbrodniczą działalność.” Do końca wierzył, że dzięki temu otrzyma łagodniejszy wyrok.

Kilka miesięcy później, 25 października, kiedy płk Oborski przebywał już w celi śmierci na Rakowieckiej, w skardze rewizyjnej skierowanej do Najwyższego Sądu Wojskowego opisał, jak wyglądało śledztwo: „Od początku śledztwa spotka-łem się z tym, że nie ulega dla organów śledczych żadnej wątpliwości, że jestem zdrajcą, wrogiem i że od przyjazdu do Polski (...) aż do chwili zaareztowania (...) prowadziłem robotę dywersyjno-szpiegowską, (...) że Gł. Zarząd Informacji ma dostateczną ilość świadków, by udowodnić popełnioną zbrodnię. Jednocześnie oficerowie śledczy twierdzili nieustannie, że przyznanie się do »popełnionych zbrodni« spowoduje łagodny wymiar kary i pozwoli skorzystać z dobrodziejstwa amnestii i wrócić na łono rodziny; natomiast nieprzyznanie się do »zbrodni« spowoduje najwyższy wymiar kary (...) Wreszcie dano mi do zrozumienia, że jeśli będę trwał w uporze nieprzyznania się – to spowoduję tym trudności dla mojej najbliższej rodziny, jako rodziny wroga, i to zatwardziało, Polski Ludowej”.

Śmierć

Wykonanie wyroku wyznaczono na 6 lutego 1953 r. na godz. 18.50. Zalecono powiadomić lekarza więziennego. Nie dano możliwości wezwania duchownego. Strzał, prawdopodobnie w potylicę, oddał st. sierż. Aleksander Drej, kat mokotowskiego więzienia. Ciało prawdopodobnie zostało przewiezione na Łączkę, wydzieloną część cmentarza wojskowego na Powązkach, gdzie dokonywano tajnych pochówków ofiar. Niecały miesiąc po wykonaniu wyroku, 5 marca 1953 r., zmarł Józef Stalin. Wyroki śmierci na oficerach przestano wykonywać.

Cztery lata później, w 1956 r., Oborski został przez Najwyższy Sąd Wojskowy oczyszczony z zarzutów i zrehabilitowany. Rodzinie pułkownika przyznano odszkodowanie. W domu zjawił się oficer, który zaproponował utworzenie symbolicznego grobu na Cmentarzu Powązkowskim. Rodzina zapytała, gdzie jest ciało. Oficer nie wiedział. Grobu nie ma do dziś. ■

Katarzyna J. Korwalska, dziennikarka i reporterka, autorka monografii Polski El Greco, pracuje nad biografią historyka sztuki Izabelli Galickiej, której wujem był pułkownik Mieczysław Oborski.



Plutonowy Henryk Kończykowski „Halicz”. Zdjęcie z kartoteki więziennej stołecznego Urzędu Bezpieczeństwa, 6.01.1950

dokończenie ze strony 7

wodę. Oprócz tego jeszcze rano dawano kubełek z wodą i wymieniano kibel. Wydawanie jedzenia, jak i pozostałe czynności, strażnicy wykonywali w milczeniu. Przez okragłą dobę co kilka minut odchyłał się judasz w drzwiach i ciekawe oko zaglądało do celi.

Pobyt w podziemiach MBP przypominał czasy średniowieczne, gdy zamuro- wywano żywcem ludzi. Różnica polegała tylko na tym, że nas utrzymywano przy życiu w warunkach całkowitej izolacji. Nawet którejś nocy, gdy już spaliśmy, nagle do celi wpadło kilku strażników i jeden z nich po kolei każdemu z nas palcem odchyłał powieki, sprawdzając, czy wszyscy jeszcze żyją. Wydawało się, że to był świat, jeśli nie przez Boga, to na pewno przez ludzi zapomniany, nawet przez ludzi z bezpieki. Rodzinom, starającym się dowiedzieć czegoś o losach bliskich, odpowiadano, że nie figurują w kartotekach aresztowanych i nie ma ich w żadnych aresztach śledczych. Przestali istnieć, zniknęli”.

Na Cyryla i Metodego

Później trafił do aresztu Miejskiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego przy ulicy Cyryla i Metodego na warszawskiej Pradze. Znów wspominał: „Metody badań były bardzo urozmaicone, poczynawszy od ordynarnego bicia do bardziej wyrafinowanych sposobów. Jednym z nich, często stosowanym, było długotrwałe przetrzymywanie w karcu. Szczególnym udręczeniem był karc mokry – była to wnęka o bokach około dziesięćdziesięciu centymetrów i wysokości około metra dwadzieścia, z niedużymi drzwiczkami i betonowym progiem. Do wysokości progu była woda, sięgająca powyżej kostek. Drugim karcem była nieduża piwniczka bez okna. Rozmiar piwniczki, w porównaniu z karcem mokrym spory – dwa kroki długości i półtora szerokości, a wysokość wystarczająca do swobodnego stania. W ścianie przy podłodze znajdowała się rurka, przez którą od czasu do czasu lała się woda, aby zmoczyć podłogę i zmusić do ciągłego stania”.

Na 11 Listopada

Przewieziono go później do praskiego więzienia położonego między ulicami Ratuszową a 11 Listopada. Jak wspominał ten czas? „W każdej celi umieszczano od dziesięciu do dwunastu osób, a biorąc pod uwagę wymiary celi, jeden i sześć dziesiątych na trzy i pół metra, można sobie wyobrazić, jaki panował tłok. Wyposażenie celi składało się z piętrowego łóżka, zajmującego niemal połowę powierzchni, ławki drewnianej, kubła na wodę i kibla. Więźniom, przebywającym na tym oddziale, nie przysługiwały widzenia, korespondencja ani spacer.

Był już maj, bardzo ciepły maj, piąty miesiąc od mojego aresztowania. Cella, w której przebywałem, znajdowała się od południowej strony, blenda blaszana, zakrywająca niewielkie okienko, nagrzewała się mocno i była strasznym żarem. W celi panował niesamowity upał. Przez cały dzień siedział się na ławce tylko w spodniach i po wszystkich ciałach obficie spływał pot. Powietrze było przesycone przykrym zapachem przez wiele miesięcy niemytych ciał”.

Rakowiecka i BAK

Stalinowski sąd wymierzył „Haliczowi” łączną karę piętnastu lat. Żona dostała osiem lat. Po blisko dwuletnim pobycie na Ratuszowej, gdzie zimą marzło się niemilosierdzie, latem dokuczał upał i brak powietrza, a cały czas panował głód, stosowano wymysłne szykany i terror, „Halicz” został przewieziony do więzienia mokotowskiego. Z czasem Kończykowskiego przydzielono do pracy w Biurze Architektoniczno-Konstrukcyjnym, które podlegało Departamentowi Więziennictwa MBP. Opowiadał: „Obóz, w którym ulokowano BAK, powstał w czasie

okupacji niemieckiej jako obóz koncentracyjny, noszący nazwę KL Warschau i zajmował teren pomiędzy więzieniem przy ulicy Pawiej a więzieniem przy ulicy Gęsiej. Z miejscem tym byłem emocjonalnie związany. W czasie Powstania Warszawskiego brałem udział w zdobywaniu obozu i uwolnieniu z niego więźniów. Pełniłem też służbę na wieży strażniczej, gdy w obozie przetrzymywani byli Niemcy. A teraz los spłatał figla i zostałem więźniem tego obozu”. Więzienie opuścił w 1953 r.

„Halicz” na koszulce

13 stycznia 2016 r., w dzień dziewięćdziesiątych drugich urodzin „Halicza”, do drzwi jego domu w Milanówku zapukał prezydent Andrzej Duda. Spotkanie przy urodzinowym torcie trwało blisko godzinę. Henryk Kończykowski zmarł pod koniec listopada 2016 r. Pogrzeb na Starych Powązkach zgromadził tłumy.

Losy „Halicza” opisałem w książce *Zoskowiec*. Mówił, że „Polski nie można nie kochać”. W Dziwnowie powstała drużyna harcerska jego imienia, a w Głogowie z rozmachem funkcjonuje projekt edukacyjny „Być jak Zoskowiec”. Zdjęcie „Halicza” będzie widniało na koszulkach tegorocznego Biegu Pamięci Żołnierzom Wyklętym „Tropem Wilczym”, a 1 marca audiobook z jego przejmującymi wspomnieniami będzie dostępny na stronie wolniedziewki.pl. ■

Jarosław Wróblewski, dziennikarz z historyczną pasją, pracownik Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL utworzonego na terenie dawnego Aresztu Śledczego przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie i redaktor naczelny biuletynu „Rakowiecka 37”.



**POLSKA
ZBROJNA**

**HISTORIA
POLSKA
ZERONA**

wiw

Mecenas wydania

Partner wydania

Projekt zrealizowany pod redakcją Anny Putkiewicz
Opracowanie graficzne: Marcin Izdebski, Wydział Składu Komputerowego i Grafiki WIW
Redakcja i korekta: Robert Sendek, January Szustakowski, Jacek Żurek
Wykorzystano teksty publikowane w portalu www.polska-zbrojna.pl
Fotografia na okładce: Cezary Pomykało, montaż: Marcin Dmowski, rysunki: Rafał Roskowiński
Zdjęcia: Archiwum IPN, CAW, Katarzyna Korwalska, Michał Niwicz,
Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce, Tadeusz Ryba
Druk: Wojskowe Zakłady Kartograficzne sp. z o.o.
ul. Fort Wola 22, 01-258 Warszawa

Wojskowy Instytut Wydawniczy
Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa
Dyrektor: Maciej Podczaski
Miesięcznik „Polska Zbrojna”
Redaktor naczelny: Izabela Borańska-Chmielewska
Portal www.polska-zbrojna.pl
Kwartalnik „Polska Zbrojna. Historia”
Redaktor naczelny: Anna Putkiewicz

PGZ
POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA



WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL